W. Leśniewski

№ 25. Warszawa, dnia 20 (8) Czerwca 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

LW.

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. **1.**
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. **1** kop. **25.**

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI.
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. **2.** Na prowincyi złr. **2** cent. **30.**
W Poznaniu
Kwartalnie marek **3.** Na prowincyi mar. **3** pf. **50.**
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. **12.**

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał trzeci roku 1896-go. Warunki prenumeraty pozostają te same a mianowicie:

W Warszawie: kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.

półrocznie rs. 2 kop. 50.

rocznie rs. 5.

Adres: „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

Warszawa, w Czerwcu 1896 r.

Kronikarze niektórych pism naszych zaczynają głośno utyskiwać na stygnące współczucie publiczności dla Kolonij letnich. Ofiary nie napływają tak jak w latach poprzednich, zainteresowanie zmniejsza się widocznie, powiadają ci sprawozdawcy, a tymczasem miasto wzrasta szybko i wraz z tem kontyngens dzieci dobijających się o ten przywilej wyjazdu zwiększa się z każdym rokiem.

Podobno tak istotnie mają się rzeczy, bo i w luźnych rozmowach i pogawędkach spotkać się można z tym tematem, a zdań, opinij i komentarzy faktu samego różnorodność niezmierna. Pesymista naprzykład uśmiecha się zgryźliwie rad, że mu się trafiła sposobność zapozwania ogółu o lekkomyślność, brak wytrwania i wyłamywanie się od obowiązku. Każdy z takich, których nazwisko najpierw przychodzi na myśl krzątającym się około spraw miłosierdzia, krzywi się przy tej okazyi nielitościwie, usprawiedliwiając siebie i sobie podobnych zwiększającemi się ciągle wymaganiami. Ci zaś, którzy są istotnie sędziami bezstronnymi, a mają przytem dobrą znajomość tajników życia warszawskiego — ci wszyscy tłómaczą niemal całkowicie ów objaw i wychodzą z zasady, że kto zbyt wiele żąda, temu zazwyczaj dostaje się mniej, niżby się dostało, gdyby w żądaniach swoich trzymał się granic rozsądnego umiarkowania. Posłuchajmy głosu tych ostatnich:

Gdyby odwoływano się u nas do ofiarności ogółu tylko w sprawie dzieci ubogich, potrzebujących odżywić organizm zwątlały skutkiem ujemmnych warunków rozwoju, gdyby o tych dzieciach tylko wspominano z wiosną i w początkach lata, z największą pewnością nie spotykalibyśmy dzisiaj narzekań o jakich mowa, bo tej jeszcze potrzebie, pomimo przyrostu ludności nasz ogół byłby w stanie zaradzić, i zaradziłby najniewątpliwiej. Od paru lat jednak przybywa ciągle kandydatów do tej willegiatury, pisze się o nich, poleca ich pamięci ogółu, a ci kandydaci do tak rozmaitych należą warstw, stanów i profesyj, że zdezoryentowana publiczność nie wie w końcu komu dać pierwszeństwo— kogo na tę wieś wysyłać najspieszniej. W następstwie widząc przed sobą cały ogrom zadania, widząc w przyszłości jakąś jedną wielką wędrówkę żywiołów miejskich w ciągu letnich miesięcy, przychodzi ogół do przekonania, że tej dyslokacyi żadne usiłowania zbiorowe nie podołają, opuszcza ręce tracąc z uwagi myśl założycieli kolonij letnich, i zdaje wszystko na wolę losu. Ale bo jakże tu nie zrozpaczyć i nie opuścić rąk — powiedzcie sami. Nie licząc, że woła o to prasa, aby każdy uczeń szkół przepędził kilka miesięcy letnich na wsi bez uciekania się do nużących korepetycyj, któremi dotąd posługiwał się do tego celu — nie licząc już tego zastępu niezmiernego, wnosi ta prasa instancye za szwaczkami, które więdną na bruku miejskim w porze letniej bez żadnego prawie zarobku, i za nauczycielkami, które nie pobierając żadnej pensyi przez czas wakacyjny, nadomiar nieszczęścia muszą pozostawać w murach miasta przez całą długą porę upałów.

Te wszystkie narzekania są najsłuszniejsze, i nie ma z pewnością takiego coby im słuszności chciał odmówić, bo i uczeń i szwaczka i nauczycielka potrzebują wakacyj i świeżego powietrza, ale my tego całego nieszczęścia naszego jakiemuś bezimiennemu ogółowi na kark złożyć nie możemy, a ten ogół, gdybyśmy mu istotnie przedstawili cztery takie listy zapełnione nazwiskami: potrzebujących, biednych, biedniejszych i naj-

biedniejszych — ten ogół zacząłby w każdym razie od zajęcia się losem kategoryi ostatniej. A że do niej należą niezaprzeczenie dzieci, że dla nich wyłącznie została założona instytucya kolonij letnich, więc lepiej będzie pono nieodrywać uwagi publicznej od myśli pierwotnej, nierozpraszać jej na wszystkie strony, bo chcąc naraz zaradzić wszystkiemu, gotowiśmy niczemu nie zaradzić. Może i na tamte krzywdy losu przyjdzie rada w swoim czasie, ale ze wszelkich wskazówek wnioskować można, że ten czas jeszcze nie przyszedł.

Bardzo przykre wrażenie przyniosła Warszawie tragiczna śmierć młodej autorki ś. p. Maryi Paprockiej, znanej publiczności czytającej pod pseudonymem Znicza. Kąpała się wraz z towarzyszką w rzece; woda uniosła obie, ale jednę szczęśliwie wyrzuciła na brzeg, podczas gdy drugiej nie było komu podać ręki pomocnej, Był wprawdzie ktoś nad brzegiem, ale ten ktoś, jak to jest u nas powszechnem prawie, pływać nie umiał, więc stał po to jedynie, żeby zaświadczyć o niewątpliwej śmierci ofiary. My wogóle nie umiemy pływać, nie oddajemy się zupełnie temu arcy pożytecznemu ćwiczeniu ciała, które niezależnie od wybornego wyrobienia siły i odwagi w jednostce, ma jeszcze to do siebie, że dać może sposobność ocalenia życia ludzkiego. Zaczęło już to u nas wchodzić w zwyczaj, zaczęliśmy się oswajać z wodą, ale cóż! wioślarstwo nasze nie było obmyślonym środkiem pedagogicznym, nie weszło w wychowanie—owszem dostało się do nas jak sport, jako moda, a że tam gdzie sport, nie ma miejsca na system, sens, i metodę, a tam gdzie moda, codzień nowe sitko na kołek, a stare w kąt, więc i my zabawiwszy się wioślarstwem przez czas jakiś, zaczęliśmy się zabawiać teraz czem innem — czemś takiem mianowicie, czego najbieglejszy dyalektyk i najzręczniejszy nawet sofista z jakimkolwiek pożytkiem ludzkim połączyć chyba nie potrafi. Biedni my jesteśmy ludzie i to jest wszystko chyba, co sobie zawsze i przy każdej sposobności powiedzieć musimy.

Wogóle nie dobrze u nas chyba idzie z temi ćwiczeniami ciała. Nie ma w tem dosyć poszanowania dla wskazań nauki, a tem samem nie ma metody, ciągu i wytrwania. W naszem piśmie wyraziliśmy się co do tego dosyć optymistycznie w ostatnich czasach, a jak się przekonywamy pomyliliśmy się chyba, jeśli prawdziwą jest wiadomość, którą podają pisma brukowe. Oto rozesłał podobno d-r D. w zeszłym miesiącu do nauczających gimnastyki rodzaj kwestyonaryusza, w którym prosi o dostarczenie cyfry osób oddających się u nas gimnastyce. Te cyfry zgromadzone dały rezultat szczególny — zadziwiający nawet. Na 600 blizko tysięcy mieszkańców naszego miasta 3,000 niespełna oddaje się ćwiczeniom gimnastycznym, co wynosi 1 mieszkańca na 200. Jak na epokę w której się tyle zaczernia papieru kwestyami hygienicznemi, to wistocie za mało trochę.

Bardzo się Warszawa zajmuje swoją wystawą umeblowań stylowych, i nie można się temu dziwić, bo zajmujące, miłe dla oka, a nawet pouczające pod pewnym względem jest nagromadzenie w jednem miejscu tego, co człowiek w różnych epokach cywilizacyjnego rozwoju ku wygodzie i upiększeniu miejsca swego pobytu wytworzył. Z drugiej strony jednak otwiera każda podobno wystawa obszerne pole do rozmyślań, a te znowu nie wszystkie mogą być barwy różowej. Nie można zapomnieć przy oglądaniu tych artykułów zbytku, o stosunku do ogółu całego tej małej bardzo liczby wyjątków, dla których mebel stylowy jest dostępnym — nie można nie pomyśleć o tem czem są zamiłowania takie same w sobie, i w jaki sposób wpływają one na jednostkę ludzką, ani o tem nakoniec cobyśmy dla szerokiego ogółu intelligencyi naszej, bo już o masach mówić tu nie będziemy — cobyśmy dla tej sfery całej, która tyle w życiu naszem znaczy, i tyle reprezentuje, za pożądane uważali pod tym względem.

Kto, właściwie mówiąc, u nas może się wdawać w zbytkowne meblowanie mieszkania—w zakupywanie przedmiotów sztuki, sprzętów kosztownych, a więc i owych mebli stylowych o których mowa?

Cyfr oczywiście stawiać się tutaj nie da, ale to co powiedzieć można jako rzecz niepodlegającą zaprzeczeniu, to że mało jest bardzo u nas zamożności takiej. Mówimy tu o ludziach, którzy mogą sobie zapełniać mieszkanie, skoro już taka ich ochota i upodobanie, portyerami, firankami, gobelinami, chińskimi parasolami, wreszcie cudactwami rozwieszanemi na piecach — bez uszczerbku dla kieszeni i ujmy dla zdrowia. Wspomnieliśmy o zdrowiu ze względu, że wszystkie te przedmioty z natury swojej całkowicie antihygieniczne, tam jeszcze mogą być tolerowane, gdzie są na zawołanie roje służby do codziennego ich okurzania, i gdzie obszerność mieszkania pozwala na ich rozwieszanie, bez pozbawienia płuc ludzkich powietrza niezbędnego organizmowi. Jednem słowem gdzie meble stylowe, tam jako akcesorya mieścić się muszą wszystkie te rzeczy, które wymieniliśmy, a więc niechaj sobie ci niemi zaprzątają głowy, którzy mają apartamenta obszerne, służbę liczną i resztę darów Bożych w należytym stosunku.

A jednak nie sami tacy wyciągają rękę po zbytek, owszem nigdy jeszcze w takim stopniu, jak za dni naszych nie zbliżał się trybem życia człowiek nie posiadający nic, do tego, który posiada; nigdy nie upędzano się tak za pozorem dostatku jak dzisiaj, i nigdy nie było trudniej rozróżnić zamożności istotnej od świecącej nędzy. A więc nie należy się dziwić, że patrzącemu na wystawę mebli stylowych przyjść muszą na myśl ci wszyscy, którzy własnowolnie utrudniają sobie egzystencyą przez forsowne naginanie się do skali życia uważanej za obowiązującą — którzy mogąc być ludźmi niepodległymi stają się niewolnikami a nawet męczennikami zwyczaju.

„Nie pozwalam się ujarzmić nikomu ani niczemu, powiedział pewien niepospolity człowiek — jakże możecie żądać abym został niewolnikiem przedmiotów." Dużo jest u nas niewolników takich.

A przytem owo niby świadectwo dobrego smaku i estetycznego poczucia, jakie człowiekowi wystawiają jego własne graty, bardzo jest niestety zawodne. Zbytkowne a nawet hormonijne uspręcenie domu, bywa bardzo często dziełem pospolitego jakiegoś epikurejczyka, podczas gdy tyle przecież arcydzieł ducha ludzkiego zrodziło się wśród nagich ścian poddaszy i mansardów. I to jeszcze jako pewnik przyjąć nam wypadnie, że wśród wszelkich mizernych zabiegów o dorównywanie możnym, marnieje umysł i pospolicieje duch ludzki, że w tej atmosferze trywialności kobieta i mężczyzna robią się zarówno nieprzystępnemi wrażeniom wyższego porządku — że jednem słowem zamiast człowieka urabia nam duch czasu człowieczynę jakiegoś zaledwie, a myśmy przecież rozumieć powinni, jakiej miary ludzi potrzeba nam dzisiaj. Stylowe—powiadacie? ależ owszem niech będą stylowe te umeblowania domów naszych, ale niechaj ten styl nie odbija rażąco od reszty warunków, niechaj się nie kłóci z całością bytu. Wszakci to onych modrzewiowych dworków nie ozdabiał nikt gotyckimi łukami, ani korynckim kapitelem, a przecież tyle było w sercach ludzi miłości dla nich i tyle tęsknoty po ich utracie.

Dajmyż za wygraną temu kłamstwu, nie odbiegajmy tak bardzo od starej ławy dębowej, stołu o czterech nogach i odpowiedniego do nich krzesła w kierunku europejskiego komfortu. Udogodniajmy sobie to wszystko, upiększajmy nawet, ale stylu swojskiego sromać nam się nie godzi. Owszem nazwijmy go sobie nadwiślańskim chociażby, ten styl własny, i niezapominajmy, że byleśmy duchem ogrzać potrafili te skromne wnętrza domów naszych i tak wydadzą się one miłemi dla nas, drogiemi jako wspomnienia dla dzieci naszych, a szanownemi dla obcych przy całej prostocie swojej.

Dochodzą nas z Krakowa wiadomości o koncesyi jaką otrzymali doktorzy Bujwid i Cybulski wraz z radcą szkolnym Trzaskowskim na założenie gimnazyum żeńskiego w Krakowie, ale równocześnie dowiadujemy się czegoś, co w bezpośrednim związku zostaje z losem przyszłych wychowanek tego przyszłego zakładu naukowego. Idzie nam o studya uniwersyteckie kobiety w Austryi. Przedewszystkiem ograniczono na przyszłość zdawanie kobiecych egzaminów dojrzałości w gimnazyach męzkich, i odtąd każdy kraj koronny monarchii jedno tylko będzie mieć takie gimnazyum męzkie, w którem kobieta składać może egzamin i otrzymywać atestat z ukończonego kursu nauk.

O plątaninie, którą obmotano uniwersyteckie wykształcenie kobiety w Austryi, wiemy już oddawna, teraz zaś komunikują nam arcydzieło formalistyki którem starają się sfery rządowe zapobiedz wyższemu wykształceniu kobiety, utrudniając jej możność korzystania ze zdobytego po za granicami Austryi dyplomu. Otóż kobieta, która uzyskała tytuł doktora medycyny naprzykład w jednym z uniwersytetów Europejskich, chcąc korzystać z niego w monarchii austryackiej potrzebuje: 1) Obywatelstwa Austryackiego. 2) Świadectwa stwierdzającego ukończone lat 24. 3) Patentu dojrzałości wydanego przez właściwe gimnazyum w Austryi. 4) Świadectwa z odbytych studyów w ciągu 10-ciu przynajmniej semestrów. 5. Poddania się wszelkim rygorom egzaminu teoretycznego i praktycznego. 6) Pozwolenia na te wszystkie próby ze strony właściwej władzy uniwersyteckiej, potwierdzonego przez ministra oświaty.

W każdym razie równa się to zakazowi, i jakoś szczerzej i godziwiej byłoby może zabronić wprost i nieodwołalnie, boć nareszcie wystawić sobie można, że szykany przy egzaminie samym dorównywać chyba będą przedwstępnym utrudnieniom.

Drugą dosyć w swoim rodzaju szczególną wieść z działalności kobiety na polu nauki przynoszą nam gazety w sprawozdaniach swoich z kongresu lekarzy, który się odbył w Kijowie. W tym kongresie przyjęło udział 46 kobiet doktorek, które bez żadnych ogólnie wiadomych powodów uznały za stosowne zwołać nowy kongres lekarzy, złożony z samych kobiet.

Wielce niechętnie podobno przyjął to świat naukowy tamtejszy, bo też istotnie tego rodzaju wyo-

sabranianie się więcej chyba ma związku z feminizmem jak z nauką. Bardzo—bardzo charakterystyczne a niepocieszające.

A. S.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

XII.

Ślizgawka zaś tego roku stała się nadzwyczaj modną i poprostu roznamiętniała swych zwolenników.

Po poprzedniej bowiem zimie słotnej i bez śnieżnej, już w końcu Listopada zapanowała normalna, piękna zima Północy, z szatą białą, skrzącą, a sucha, krzepka i wesoła.

Młodzież zatem odbijając przydługie umartwienia przymusowe, rzuciła się do łyżwiarskiego sportu zapamiętale, niejako tem goręcej i żywiej pulsującą krew czując w żyłach, im ostrzej mróz ciął po twarzy.

I na ślizgawkach potworzyły się salony obszerne, powietrzne, to pogrążone w blasku słońca, to w mgle zmierzchu, lub mieniące się różnobarwnemi światłami fantazyjnych latarni; a salony gościnne dla wielu przystępne, pełne swobody w stosunkach, znajomościach i zabawie. To też w obrębie ich tłumy się roiły, zwłaszcza wieczorami, gdy w dodatku do innych ponęt, muzyka podniecała do ruchu i życia.

Ada również poczęła skwapliwie korzystać z tej rozrywki, w wyprawach łącząc się zwykle ze znajomymi. W ostatnich dniach przedświątecznych trzymała się stale pań Kermeńskich, których towarzystwo stało się dla niej obecnie więcej zajmującem niż poprzednio. Albowiem narzeczony Niuty, przyjechawszy z Petersburga na tygodni parę, w pewien ruch pociągał swoją „cichą dzieweczkę,” sam sportsman zawołany, a w dodatku przyprowadzał ze sobą raz po raz przyjaciela i kolegę, inżyniera Adryana Kościeszę, który też na święta do Warszawy zjechał.

Co prawda zaś, pani Marya Kermeńska w usilnem przywabieniu Ady miała pewien cel z góry przez siebie zakreślony. Przez dobroć serca chciała oto poswatać przyjaciółkę córki z towarzyszem przyszłego swego zięcia, bo wiedziała dobrze, jak zgubnem jest dla młodej dziewczyny rzucanie się w świat bez opieki i wytrawnej a przychylnej rady.

Nie ukrywała też wcale swych zamiarów i kładła Adzie w uszy co się dało.

— Ty nie skapryś, nie zbałamuć, dzieciaku—przestrzegała zatem, — bo to człowiek jak stworzony dla ciebie. Rozumny, wyrobiony, charakteru dzielnego, i taką samowolnicę niezawodnie opanować zdoła. Tylko daj mu prosto kochające serce i gór trudności na drodze nie stawiaj, a wszystko dobrze pójdzie dla twego szczęścia.

Ada słuchała tych dorad w milczeniu, trochę jak ktoś, co sam nie wie co począć, a trochę i z ostrożnością dobrze wychowanej panny, która nie mogąc wymiarkować jaki obrót weźmie sprawa, nie chce zawczasu czemś się zdradzić i skompromitować. Nie wzdragała się wszakże i nie opierała niczemu, ponieważ zostawała ze wszystkiem pod urokiem tej nowej znajomości.

Kościesza bowiem był niemal skończenie pięknym mężczyzną, a miał urodę pełną siły i wyrazu; w obejściu zaś posiadał pewien absolutyzm energii i stanowczości, niezmiernym wdziękiem tkliwości serca łagodzony, przez co wogóle tak brał kobiety, że za nim szalały. Owo „szczęście” było zapewne przyczyną tego, że blizki lat czterdziestu jeszcze towarzyszki dozgonnej nie posiadał, ale powodzenia dawne zgoła nie przeszkadzały, by nowych nie zyskiwał równie łatwo i obficie.

Na wrażliwości panny Smieńskiej grał zaś jeszcze i swoją wymową i niezwykłemi warunkami tułaczego życia, które czyniły go zajmującym, i od innych wcale odrębnym.

A ponieważ Stefan Górowski, w zmowie z przyszłą teściową, pragnął w jak najkorzystniejszem świetle przedstawić przyjaciela, wyciągał go przeto na opowiadania rozmaitych przygód, w których po części i sam przyjmował udział.

Spędzili tedy kilka wieczorów nader przyjemnie, często odrywając myśl od życia salonów, a przenosząc ją w zupełnie odmienny świat dzikiej przyrody i walk z nieokiełznanemi żywiołami.

Tym sposobem Ada dowiedziała się, że Kościesza przewodniczył kiedyś poszukiwaniom złota na Uralu, a srebra nad brzegami Białego morza. I że wówczas prowadził partye złożone z kilkudziesięciu ludzi, którzy mieli mu pomoc stanowić w pracy i obronę na wypadek oporu ze strony półdzikich krajowców, a sami ledwo dawali się za karki utrzymać niesforni i żądni łupu. Że zatem w tych przejściach „na wozie i pod wozem” miewał chłodu, głodu i niebezpieczeństw, jak inni rozkoszy i wywczasu do syta. Ale to właśnie jej się podobało, imponowała jej pewna rycerska fantazya, która szumiała w tem lekceważeniu życia, jego umileń i drobnostek, przyczem wszakże w mówiącym widniało wielkie nad życiem onem i nad sobą panowanie.

Niektóre zaś epizody Kościesza odmalowywał tak barwnie, po prostu jako obrazy otoczenia i przyrody, że to znów pobudzało w niej ową niejaką żyłkę artystycznych poczuć i wyobraźni, jaką miała w sobie.

Wsłuchiwała się tedy z zapamiętaniem, gdy naprzykład opowiadał, jak z paroma ludźmi za daleko odbił od brzegu, właśnie na morzu Białem, a wicher się podniósł, łódź porwał, fale wzburzył, i bałwany począł ciskać przez głowę, przykrywać niemi, a tak chybotać barką, że wiosła spuścić musieli i pokładłszy się na dnie, za ręce spleceni, już w duszy żegnali świat, nie wiedząc ani gdzie są, ani jak długo tak trwają, aż pęd się zwrócił i ku lądom ich popchnął. Lub gdy innym razem opisywać począł wyprawę po zamarzłej Wołdze, co mu właśnie przypomniał Stefan, jako współuczestnik tejże.

Pan Stefan Górowski rzadko do czego się przyznawał, bo Niuta zaraz poczynała blednąć ze strachu i czasem nawet paluszkiem zamykała mu usta. Ada wszelako nie darowywała niczemu, co usłyszeć mogła, więc i tu poczęła dopytywać natarczywie.

— Wówczas puściliśmy się trochę nierozważnie, zwłaszcza, że ani z potrzeby, ani w celu pożytecznym lub naukowym — przyznawał Kościesza, — mil dziesięć, dwojgiem sani w rysaki zaprzęgniętych a sami powożąc. Lecz był taki spokój w naturze i tak w spokoju tym coś porywającego, że panie sobie i wyobrazić nie mogą.

Tu Niuta spojrzała na narzeczonego, jak gdyby chcąc się upewnić, że istotnie siedzi obok i na wycieczce tamtej nie przepadł.

Adryan zaś mówił dalej:

— Pędziliśmy wichrem, a lód jeno trzaskał pod nami, bo to było wiosną, gdy kry się łamią. Pustka, cisza, głuchość, białość wogół, że oszaleć. Ani siły, ani podobieństwa samym sobie rzec: dość, i zawrócić. No mówię otwarcie, że ten ocean śnieżny, bez brzegów, bez cieniów tak zlewał się w jedność z wyblakłem niebem i tak nas pociągał, że choć duszę zgubić. Myśmy zaś byli wraz z końmi i saniami ot jak dwa kruki jeno, jak dwa kruche konary, zabłąkane w ogromie tych stężałych wód i rozpiętego nad głowami nieba.

— Gdyby była zerwała się prosta śnieżyca, zawieja — wtrącił Górowski, — lub gdyby horda rozbójników była wyskoczyła z za nadbrzeżnych wzgórz, bylibyśmy zgubieni jak robaki — dokończył, uwziąwszy się snadź tym razem na to by narzeczoną doprowadzić do rozpaczy, może w nadziei, że znów paluszek jej do ust przyciągnie.

Tymczasem ściągnął sobie tylko na głowę „kapelusz.” Panna Kermeńska bowiem poczęła mu dowodzić, że nierozsądkiem życie narażać bez potrzeby. I w końcu wymogła, wyprosiła uroczyste przyrzeczenie, że tej zimy żadnych awanturniczych wycieczek urządzać nie będzie, a na drogę, to mu już sama „nie pozwoli” — zapowiedziała, z cichej, uległej dziewczyny w oka mgnieniu zmieniając się przez miłość w despotkę, jak zwykle bardzo kochane kobiety.

Wszystko to zatem wzięte razem, i te rozmowy i codzienne widzenia, a co główna, ów nieprzeparty pociąg, jaki Kościesza urodą swą od początku wzbudzał w pannie Smieńskiej, burzyło do dna umysł jej i nerwy, zwłaszcza, że sprawa z Januszem w bezustannem zawieszeniu trzymana, poczynała nużyć ją moralnie wewnętrznem niezadowoleniem i ciągłym niepokojem.

Gdy więc dnia jednego pani Kermeńska, poczytując jej nienaturalne usposobienie za wynik obaw i niepewności, poczęła zaręczać, że nie należy troskać się o to, czy się Adryanowi podoba, a tem mniej lękać, że takim serc zdobywcą, bo przeszumiał, ożenić się pragnie, a w dziarskiej postawie chowa tkliwość niewieścią, Ada pod wpływem tych przełożeń jeszcze bardziej się rozstroiła i w szczególniejszem zgorączkowaniu znalazła się w Łazienkach na ślizgawce, dokąd Kościesza miał nieco później przybyć.

Wieczór był spokojny i prześliczny. Szron śnieżnem szkliwiem okrywał szare drzewa i nagie gałązki. A w powietrzu unosiła się sucha, przejrzysta mgła, w cieniu błękitnawa, w światłach latarni spłoniona lekkim rumieńcem, a wszędy przesłaniająca jakoby tchnieniem uroku ten biało przybrany świat, i migające po lodowem zwierciadle postacie ludzkie, które w oddali wydawały się jako cienie i widma.

Ada w tłumie zawsze odzyskiwała sprężystość i fantazyą. Pomknęła zatem raźno i przesuwała się tu i owdzie. A widząc Kostunię z Witoldem Zawrońskim, następnie doktora Wirskiego

na wiernej służbie przy boku zasobnej blondyny, której od wiosny składał hołdy, jednym i drugim skinęła głową z miną: „czekajcie! i ja kogoś przed oczy wam postawię."—I wreszcie oddzieliwszy się od Niuty, już szybującej w parze z ukochanym Stefanem, wplotła się w grono akademików, którzy zabliźnili ranę jej serca, stwarzając nieodłączną świtę na lodzie.

Z pomiędzy nich najpochopniej do usług wyrywał się przedewszystkiem młody Romus, chłopak śmiały, zuchowaty, ognisty i wielce przystojny.

I teraz więc, gdy Ada, istna mistrzyni w łyżwiarskiej sztuce, poprostu bujać poczęła gibka, wiotka, zroskoszowana, z upojeniem kołysząca się w takt muzyki, a sama jak muzyka i upojenie, Romus też sunął przy jej boku nader blizko i siarczyste komplimenta prawił oczyma wyświecając, jak świętojankami. Ona słowa jego odbijała chybkim żartem, jak wprawni szermierze piłkę w palancie, traktując go wogóle, zwyczajem przez panny przyjętym względem ludzi jeszcze nie skończonych: trochę jak dzieciaka, z którym się nie liczy, trochę zaś jak młodego lewka, jeszcze bez ostrych pazurków, którego drażnić dla zabawki można.

Student czerpiąc od niej podnietę, dyszał z zapału, mnóstwo zręczności wkładał w halifaksowe zakręty—i tak płynęli.

Wtem nadszedł Kościesza. Postać jego nie nadmiernie wysoka, lecz budową prawie atletyczna, głowa hardo podniesiona w górę o twarzy wyrazistej, ogorzałej, długą brodą czarną ocieniona, niełatwo ginęła nawet w tłumie.

Ada postrzegła go też nim on zdołał wpośród łyżwujących ją rozpoznać, rumieniec przeszedł przez jej twarz, ogień przez ciało, i pokierowała tak obrotem, że tuż obok przejechali z Romusem, w całym rozpędzie.

Kościesza ukłon złożył z uśmiechem uwielbienia i nagłej przyjemności w rysach. A w minut kilka wszyscy, z wyjątkiem studenta, który nie znał całego towarzystwa, znaleźli się koło pani Maryi Kermeńskiej, przy brzegu siedzącej w fotelu, na rozesłanym dywanie.

Tu Niuta zatrzymywała się za każdym kręgiem, aby choć oczyma powiedzieć: „mamusiu, jakam ja szczęśliwa!" Teraz szeptem wyznawała narzeczonemu, że po jego wyjeździe ani razu więcej na ślizgawkę nie pójdzie i przez karnawał nogą nie ruszy, bo ją nic na świecie nie bawi i nie obchodzi, bez jego udziału. On coś jej przekładał, czy za coś dziękował — i tak, choć na mrozie, topnieli wzajem dla siebie przy boku tej matki, zapatrzonej w nich jak w obraz pod słońcem najpiękniejszy.

Ada zaś nieopodal stała z Kościeszą; lecz jakoś nie mogła zwykłą lotnością uskrzydlić tej rozmowy, którą on główie podtrzymywał, wychwalając elegancyą zgromadzenia, wdzięk dam, i opisując zabawy Północy.

— A pan się nie ślizga? — wreszcie spytała ona, pragnąc go pociągnąć w ruch ze sobą, w nadziei, że sama prędzej odzyska łatwość i swobodę obejścia.

— Tu ciasno, pani, duszno! — odparł Kościesza, w pierś głęboko czerpiąc powietrza, i wokół rzucił oczyma, które w spojrzeniu miały istotnie coś z bystrości wzroku sokoła, przywykłego dalekie mierzyć przestrzenie i śmiało na krańcach widnokręgu szukać zdobyczy, lub niebezpieczeństw.

— Ot po Wiśle się puścić, a po Newie lub Ilmeńskiem jeziorze — podjął z ożywieniem. — Gdy człowiek przywyknie do stepów i wolności, to mu potem w murach i w miejskich ogrodach, jak rybie w sieci.

I następnie wypytywać począł, w jakich stronach ona się wychowała.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

POEZYA NIEMIECKA

OSTATNICH CZASÓW.

Śmierć Heinego zakończyła okres najświetniejszego rozwoju liryki niemieckiej. Od chwili tej do naszych niemal czasów, to jest przez ciąg kilku dziesiątków lat, nie pojawił się w Niemczech ani jeden znakomity talent poetycki, a nawet i o średniej miary twórczość liryczną nie było łatwo. Pieśń, która w początku stulecia rozbrzmiewała po niwach niemieckich dźwiękiem takim potężnym i głębokim, umilkła nagle. Tu i owdzie jeszcze, od czasu do czasu odzywał się głos jakiś słaby, nieudolny, niby z przymusem i wysiłkiem, i rwał się i cichł, a powietrze niosło tylko echa wrzasków i szczęków wojennych, lub od szczęku żelaza zgrzytliwszych—rozpraw parlamentarnych. Kilka też zaledwie imion z epoki tej wymienić można, a są to wszystko na Parnasie teutońskim osobistości, trzecio i czwarto rzędne. Platen, Rückert, Emanuel Geibel doskonałością formy, wdziękiem rymów i rytmów osłaniali martwe, bezduszne szkielety utworów swoich. Harmonijność wiersza, piękno, ale piękno formy jedynie stawiali sobie za cel, podobnie jak francuska szkoła *Parnasu*. „Nawet okrzyk boleści wydzierający się z piersi, niechaj stanie się muzyką dla ucha" — pisał Geibel. Zdala od parnasistów niemieckich trzymali się Godfryd Keller, Teodor Fontane i Teodor Storm.

Nie tak troskliwi o wdzięk formy, jak wymienieni powyżej, tworzyli swobodniej, a w pracach ich można było znaleść więcej szczerego uczucia, więcej porywów gorących i marzycielskiego polotu. Bądźcobądź jednak byli to wszystko ludzie małego talentu, nie przeznaczeni do torowania nowych dróg, do szukania nowych ideałów artystycznych. I oni wreszcie ucichli, i pieśni ich przeżyły się, a żadna nowa zdolność nie powstawała przez długi czas, i nic nie zwiastowało blizkiego odrodzenia poezyi niemieckiej.

Dopiero około roku 1880 rozpoczyna się żywszy ruch we wszystkich dziedzinach literatury. Nowe hasła rozbrzmiewają dokoła.

Wpływ Zoli i Ibsena wyraźnie odczuwać się daje. Uśpiona dotąd liryka budzi się także do życia.

Dosyć wyczerpującą monografię tego ruchu, który przechodząc w ciągu lat piętnastu przez najrozmaitsze fazy, wzmaga się nieustannie, znajdujemy we francuzkiej „Revue de deux mondes." Sądzę, że warto chociażby pobieżnie i z daleka zapoznać się z poezyą niemiecką ostatniej doby.

Około roku 1880 naturalizm Zoli tak olśnił młodych autorów niemieckich, że postanowili obdarzyć kraj swój literaturą w podobnym rodzaju. Wbrew przyrodzonym właściwościom rasy swojej postanowili być objektywnymi, i zaczęło się na wielką skalę naśladownictwo Zoli na polu romansopisarstwa. Ale nie tylko powieść wprowadzono na te tory, i poezya miała poddać się wymaganiom estetyki realistycznej.

W roku 1882, bracia Juliusz i Henryk Hart w sześciu zeszytach swych roztrząsań krytycznych z całą gwałtownością nowatorów napadli na dogorywającą szkołę parnasistów, na ich teorye literackie i metody tworzenia. Prawdy chcemy — wołali — mniejsza o to, czy ona będzie piękną czy brzydką.

Przez usta ich zapowiedziały *młode Niemcy*, że odtąd *realizm objektywny* ma być prawem dla liryki.

Realizm objektywny! Wśród wielu kombinacyi, które tworzono w owym czasie z wyrazów: realizm, idealizm, subjektywizm, objektywizm, ta należała do mniej zużytych ale i mniej udatnych także. W odniesieniu zwłaszcza do poezyj lirycznej była to formuła pozbawiona sensu. Gdyby nie gwałtowna potrzeba postawienia jakiegokolwiek hasła na miejsce starych, które odrzucono, gdyby chwila zastanowienia, nowatorowie sami z łatwością przyszliby do wniosku, że te dwa pojęcia: objektywizm i liryka wykluczają się nawzajem Dostrzegliby także, że między naturalizmem a teoryami Rückertów, Geiblów i t. p. różnica istotna nie jest tak wielka, jakby się to z pozoru wydawać mogło, bo źródłem, z którego zarówno jedna jak druga doktryna wypływa; jest uznanie przewagi materyi nad duchem.

Zrozumieliby, że wprowadzając do Niemiec naturalizm, nie wprowadzają w rzeczywistości nic tak dalece nowego.

Ale właśnie na tę chwilę zastanowienia nie było czasu. W przedmowie do jednej ze swoich pierwszych książek, zbioru wierszy zatytułowanego „Homo sum" pisał Juliusz Hart.

„Stoimy wobec świtu poezyi nowej, zupełnie oryginalnej, którą nazwiemy poezyą realistyczną. Wiemy, że wyrażenie to nie odpowiada w zupełności przedmiotowi, który ma oznaczać, jest przyjętem dowolnie, tak jak niegdyś dowolnie przyjętą była nazwa: poezyi romantycznej. Żądamy od poezyi nowej, żeby była wyrazem sposobów myślenia i czucia właściwych naszej epoce, żeby wcielała w sobie nowe pojęcie świata, oparte na zdobyczach umysłowych, politycznych i społecznych naszego stulecia.

Nikt zaprzeczyć nie może, że czujemy i myślemy inaczej, niż dawniej, inaczej niż poeci średniowieczni, inaczej niż klasycy lub romantycy. Poezya nasza, poezya realistyczna, musi być zupełnie nową i oryginalną. Nie będzie szukała wzorów w przeszłości, ideał artystyczny musi sobie wytworzyć sama. Nie potrzebuje ona ani studyować ani naśladować dawnych dzieł sztuki, musi zwrócić się ku naturze i wprost badać jej zjawiska. Zrywamy z dawną poezyą sentymentalną. Stworzymy poezyą odpowiednią duchowi czasu, pełną charakteru i *działania*."

Było to dosyć naiwne, a do jakiego stopnia niewykonalne świadczy fakt, że sam autor teoryi tej nie zdołał żadnego z założeń powyższych urzeczywistnić.

W zbiorku poprzedzonym tą energiczną przedmową dotyka Hart z rozmaitych stron kwestyi społecznej. Przechodzimy z nim razem całą skalę uczuć, od litości do oburzenia, ale *działania* nie znajdujemy nigdzie. Druga książka jego p. t. „Sehnsucht" (tęsknota), jest to nowela pi-

sana poetyczną prozą, utrzymana cała w tonie lirycznym.

Jak najpospolitszy romantyk poetyzuje tu autor swoje ja; już też i jakiś powiem mistyczno-symboliczny przenika ten utwór, ale realizmu na próżno w nim szukać.

Drugi z braci Hart, Henryk podjął olbrzymie zadanie, które nęciło niejednego wielkiego poetę, że wspomnę tylko Lamartine'a i Wiktora Hugo, postanowił stworzyć epos ludzkości.

Dotąd ukazały się dopiero dwie pieśni: „Tul i Nahila" i „Nemrod."

Na zapowiadanego kilkakrotnie „Mojżesza" czekamy daremnie od lat kilku. Pracom tym nie brak powagi, podniosłości i pewnego marzycielskiego nastroju, ale na *realizm objektywny* poczekać chyba przyjdzie do pieśni 24-ej, w której poeta da nam obraz dnia dzisiejszego. Dotychczas wiemy tylko, że umie marzyć o przeszłości.

W podobnej niezgodzie z własnemi hasłami, znalazł się cały obóz młodych. Okazało się, że poezya liryczna nie może być objektywną, i że oni sami są subjektywistami *par excellence*. Odkrycia te nie wstrzymały ich w ich pochodzie ku nowym krainom twórczości. Życie wewnętrzne jest także rzeczywistością — powiedzieli sobie — i obserwując je, nie przestajemy być realistami. I poczęli wpatrywać się w głębiny własnych duchów.

Cały — prawdę powiedziawszy — niezbyt bogaty dorobek twórczy młodych Niemiec dzielą krytycy współcześni na trzy grupy: poezyę rewolucyjną, indywidualistyczną i symboliczną. Przypatrzmy się każdej z osobna.

Typowym poetą rewolucyi był niegdyś w Niemczech Ferdynand Freiliggrath. Niepodobna jednak uważać go za duchowego protoplastę dzisiejszych piewców przewrotu.

Inną była atmosfera około roku 1848, inną jest u schyłku wieku. Ideały artystyczne i polityczne Freiliggratha różniły się mocno od ideałów takiego Holza lub Henckla, największa zaś różnica istnieje podobno w sposobie odczuwania dawniejszym, a dzisiejszym wszystkiego tego, co duszę poety poruszać zwykło. Pogodniej patrzono na życie w owe czasy.

Dzisiejsza poezya rewolucyjna niemiecka obraca się w dosyć ciasnym zakresie uczuć i pojęć.

Wybuchy współczucia lub nienawiści, mgliste marzenia o złotym wieku, który „będzie jutrem wielkiego wieczoru," oto prawie jedyne motywy pieśni, oddanej w usługi kwestyi społecznej.

Wśród grupy poetów rewolucyonistów wspomniany wyżej Arno Holz jest jeśli nie najbardziej utalentowanym, to przynajmniej najsilniej podnoszącym głos.

(Dokończenie nastąpi.)

Z nauki czystej i stosowanej.

Dlaczego mieszkańcy wielkich miast cierpią tak pospolicie na anemię? Działa tu wiele różnorodnych przyczyn, rzecz prosta. Jedną z najbardziej doniosłych jest bezwątpienia tlenek węgla.

Gaz ten, powstaje, jak wiadomo, z niedokładnego spalenia się węgla w piecu, on to bywa niestety, narzędziem, służącem desperatom do pozbawienia się życia; w wielkich miastach znaczny procent samobójców wybiera ten właśnie środek, dlatego może, że jest on stosunkowo łatwym do otrzymania i działa prawie nieochybnie.

Nieśmiertelny fizyolog, Klaudyusz Bernard przekonał nas swemi klasycznemi doświadczeniami, że gaz ten nietylko że nie podtrzymuje wcale oddychania, lecz jest nawet silną trucizną, działającą na krew. Ponieważ jest to związek, obdarzony silnemi własnościami redukcyjnemi, t. j. ma wielką zdolność odejmowania ciałom tlenu, przeto niszczy hemoglobinę krwi — substancyę, zawartą w jej czerwonych ciałkach, które w płucach nasycają się tym ożywczym gazem, aby go potem oddać tkankom.

Pozbawiony smaku, zapachu i barwy tlenek węgla jest niebezpieczniejszy od chloru na przykład, którego obecność łatwo wyczuć powonieniem. Dowiedziono, że $^1/_{1000}$ części na objętość tego gazu wystarcza do szybkiego pozbawienia życia człowieka.

Jak szybko rozpuszcza się on, osądzimy z tego, że w atmosferze zanieczyszczonej 10% tego gazu po upływie 10—25 sekund zawiera go już 4%, oddychając zaś nim dłużej, np 1 m. lub $1^1/_2$, mamy go już we krwi 19%; w tym wypadku nic już nie może nas uratować od śmierci.

Podczas pożaru większość ofiar ginie nie w płomieniach, lecz od tlenku węgla.

Najlepszym dowodem, że gaz ten działa na krew, jest anemia, na którą zwykle chorują kucharki, prasowaczki i inne osoby, zmuszone rodzajem zajęcia przebywać w przestrzeniach zawierających stale drobne ilości zabójczej trucizny.

Wielu uczonych, literatów, urzędników, techników nie przypuszcza nawet, że powodem ich dolegliwości jest albo źle urządzony piec, albo gaz, palący się w ich pokoju.

Skutki zatrucia tlenkiem węgla są następujące: anemia, połączona z zaburzeniem w systemie nerwowym, bóle głowy nocne i ranne, które przemijają na świeżem powietrzu, kaszel uporczywy, a nawet paraliż rąk.

Mieszkańcy wielkich miast podlegają systematycznie działaniu tlenku węgla, gdyż muszą bez przerwy oddychać powietrzem, do którego uchodzą gazy z licznych kominów fabrycznych, z pieców zwyczajnych, nie mówiąc już o krociach beków gazowych, które także produkują tę truciznę. Nie należy się więc więc dziwić, że wyglądają niezdrowo, blado, i chorują na anemię.

Anglicy zrozumieli zgubne działanie tlenku węgla, gdyż wyznaczyli duże nagrody za wynalezienie sposobu usunięcia z powietrza londyńskiego niebezpiecznej domieszki.

Ale i wieśniacy nie są wolni od tej klęski, mają bowiem zazwyczaj źle urządzone piece, ciasne mieszkania i co najgorsze, nie domyślają się częstokroć, że grozi im śmierć z powodu przedwczesnego zasunięcia blachy w kominie; strzeżmy się więc zdradliwego tlenku węgla.

Człowiek ucywilizowany posiłkuje się trucizną w celach samobójczych, dziki zaś używa jej jako narzędzia sprawiedliwości do ukarania przestępcy lub podejrzanego o występek.

Ciekawym bardzo jest ten sąd Boży na Madagaskarze; główną rolę odgrywa w nim pewna roślina tangina (Tanghinia venenifera), podobna do lauru. Rodzi ona owoc wielkości jajka, elipsoidalnego kształtu, zawierający migdał, który jest najbardziej jadowitą częścią.

Podług zwyczaju oddawna praktykowanego na wyspie, obwiniony musi zażyć z pewnemi przepisanemi ceremoniami jakąś ilość tej trucizny, i jeżeli wychodzi bez szkody z próby, dowód to, że jest niewinny, gdy umrze, nikt nie wątpi, że on to popełnił zarzucany sobie zły czyn.

Wiemy, że sąd Boży na ogień, wodę używany był w wiekach średnich do wykrycia czarownika, truciciela lub złodzieja domowego.

Na Madagaskarze sprawa ma następujący przebieg:

Ofiara, a raczej obwiniony, co zresztą wychodzi na jedno, pije najprzód kleik z ryżu, następnie połyka trzy małe kawałki skórki z grzbietu kurczęcia, w których są zawinięte proszki trujące.

Krewni poddanego sądowi poją go wtedy obficie wodą ryżową, aby wywołać nudności i womity. Jeżeli ofiara zabobonu odda w całości wszystkie trzy kawałki skóry, jest niewinną, jeżeli zaś jeden z proszków ulega roztworzeniu we wnętrznościach i trucizna wywiera zabójczy skutek, oskarżony popełnił występek, o który go podejrzewano i ponosi zasłużoną karę.

Rzecz godna uwagi, że wiele osób wychodzi cało z niebezpiecznego doświadczenia; lecz dzięki tylko temu, że zamiast orzecha tanginy, podstawia zręcznie bardzo do niego podobny owoc innego, nie jadowitego drzewa.

Pan Armand z muzeum paryzkiego, zdołał wyciągnąć z orzecha tanginy krystaliczną substancyę, będącą pierwiastkiem czynnym tego owocu i nazwał ją *tanginina*.

Tanginina, podobnie jak digitalina działa na serce.

Pismo *Centralblatt für oesterreich-ungarische papierindustrie* podaje następujący sensacyjny kawałek p. t: Przeobrażenie drzewa rosnącego w dziennik w 145 minut.

W dniu 17 Kwietnia r. b. w fabryce papieru drzewnego pp. Meuzel (Elsenthal) dokonano interesującej próby, mającej na celu przekonać się, ile czasu potrzeba dla przerobienia drzewa, stojącego na pniu, najprzód na papier, a następnie na dziennik gotów do przesyłki prenumeratorowi.

Doświadczenie to wykazuje wymownie, jak szybko można pracować przy pomocy dzisiejszych maszyn.

W obecności obu właścicieli i notaryusza, którego wezwano dla stwierdzenia autentyczności próby, powalono o godzinie 7 m. 35 trzy drzewa w lesie, położonym niedaleko fabryki, następnie zawieziono je do zakładów i pocięto na kawałki długości pół metra każdy, ogołocono z kory, porąbano i przy pomocy windy, włożono do pięciu *defibratorów*.

Massa drzewna, wyrobiona przez defibratory, po domięszaniu dodatkowych substancyi, powędrowała w postaci mleczka do maszyny, produkującej papier.

O godzinie 9 minut 34 rano, pierwszy arkusz papieru był wykończony, *po upływie jednej godziny i pięćdziesięciu dziewięciu minut*.

Właściciele fabryki, w towarzystwie notaryusza udali się z kilkoma arkuszami do drukarni, oddalonej o 4 kilometry od zakładów. O 10-ej pierwszy egzemplarz dziennika wydrukowanego na świeżym papierze, wyszedł już z pod prassy.

Tak więc dla przemiany drzewa z lasu w numer dziennika potrzeba było tylko *dwóch godzin i 25 minut.*

Gdyby nie drobne przeszkody, piorunująca ta fabrykacya odbyłaby się jeszcze prędzej. Właściciele spodziewają się, że na przyszły raz dwie godziny wystarczy im w zupełności.

Oto, co może przemysł mechaniczny przy schyłku dziewiętnastego wieku!

W. U.

Paweł Bourget.

W JAKIM WIEKU KOCHAMY?

(Z opowiadań reportera dziennikarskiego.)

I.

Zdziwił się bardzo redaktor dziennika „Boulevard” kiedym mu przedstawił mój projekt ankiety w kwestyi wieku odpowiedniego dla uczucia miłości. Zdziwił się mianowicie tem, że idea tak nawskróś dziennikarska zakiełkowała w mózgu najmłodszego z jego współpracowników. W Redakcyi tego pisma byłem wtedy od dwóch tygodni dopiero.

— Uzupełnij-no twoją myśl mój kochany Labarthe, odezwał się do mnie tonem trochę mniej impertyneckim niż ten, jakim przemawiał zwykle do podwładnych. A kiedy mnie posłuchał przez parę minut jeszcze, zadecydował:

— Dobrze — niech tak będzie! Masz tedy ochotę zapytać tych panów, i te panie: 1-o w jakim wieku człowiek kocha najbardziej; 2-o w jakim wieku kochanym bywa najmocniej? To jest twoja myśl — wszak o to chodzi? A teraz powiedz mi kogo zamyślasz interviewować?

— Ja ułożyłem już listę osób, mówiłem zachęcony, i wydobyłem z kieszeni arkusz papieru. Nagryzmolone tam było mnóstwo nazwisk należących do osobistości, od których wypadało zacząć ów spis. Było tedy dwóch generałów dwóch dymisyonowanych ministrów, jeden dominikanin, cztery aktorki trzeciorzędnych teatrzyków i kilku aktorów, z pomiędzy których jeden dekorowany, trzech finansistów, dwóch adwokatów, jeden chirurg, jeden lekarz—legista, a po nich rój cały literatów mniej lub więcej głośnych.

Zacząłem czytać. Na jedne z tych nazwisk kiwał mój redaktor potwierdzająco głową przy innych decydował swojem krótkiem: „wykreślić,” a kiedy doszedłem do nazwiska, które zachowałem sobie na sam ostatek, zawołał głośniej:

— „I to wykreślić!” Piotr Fauchery — dodał ruszając ramionami — co ci też przyszło do głowy. Pogniewany na nas!

— A jednak, ośmieliłem się oponować, a jednak taki słynny romanso-pisarz... Jeżeli czyje słowo zaważyć może w opinii, to chyba jego przedewszystkiem; wyznaję przytem, że od niego zamierzałem rozpocząć...

— Dobry sobie jesteś. Ale wiedz że o tem, że Fauchery nie ma zwyczaju przyjmować reporterów. Ja sam nasyłałem mu ich różnymi czasy z dziesięciu przynajmniej, a on wszystkich odprawiał odedrzwi. A że nasz „Boulevard” nie pozwala, aby mu w ten sposób dmuchano w wąsy, więc przy pierwszej sposobności oddaliśmy mu pięknem za nadobne. Było nawet tego ze trzy razy przynajmniej. A zatem...

— No, jabym jednak obstawał przy swojem; ja wyrobię sobie posłuchanie u tego człowieka, a to, co od niego usłyszę powtórzy nasz dziennik. Daję na to panu moje słowo. Mam środek niezawodny...

— Jeżeli istotnie postawisz na swojem, zarobisz na tem czterdzieści franków. W gruncie rzeczy drażni mię trochę ten pan, któremu się wydaje, że on jeden mocen jest pluć na reklamę. Tymczasem on musi się uchylić przed nią tak jak każdy z jego kolegów. No, ale co my będziemy o tem mówić, dodał ruszając ramionami — ty tego nie dokażesz... Powiedz-że mi wreszcie o tym sposobie twoim...

— Pozwól mi pan, że zachowam to sobie na koniec. Za 48 godzin dowiesz się pan na czem stanęło.

— No, więc do dzieła! A w sprawozdaniu nieoszczędzaj proszę, tego jegomości.

Nie lada ja postępy zrobiłem widać jako dziennikarz przez te dwa tygodnie, i najlepszym na to dowodem może służyć moja powściągliwość, która pozwoliła mi wysłuchać tego wszystkiego, co takie indywiduum jak pan Pascal redaktor „Boulevard'a” mógł mówić o pisarzu uwielbianym przezemnie szczerze, i stawianym wyżej od reszty współczesnych autorów. Ale od chwili kiedy mię zwyciężył mój przymusowy post codzienny, i kiedy nareszcie zdecydowałem się przywdziać dziennikarską skórę, rozumiałem dobrze, że należy mi się rozstać z dawną swoją powłoką, tak jak to robią corocznie jaszczurki naprzykład. I mogę powiedzieć że mi się to udało prawie zupełnie. Wiedziałem ja wprawdzie, bo mi otem powiadała szuflada mojego biórka napełniona projektami poematów, fragmentami romansów i sztuk dramatycznych, wiedziałem, że istniał niegdyś niejaki Juliusz Labarthe, który przybył do Paryża, aby zostać wielkim człowiekiem, ale to indywiduum, które wierzyło w Naukę pisaną przez duże N—w Ideał zaczynający się od wielkiego I i w Sławę, której pierwszą literę stanowi potężne S — to indywiduum było sobie jak na teraz umarłem i pogrzebanem całkowicie. Czy ten Labarthe miał kiedyś rozpocząć znowu przerwaną karyerę swoją — czy przeciwnie sądzonem mu było pozostać tu, gdzie utonął przed dwoma tygodniami—o tem nie mogłem nic powiedzieć w tej chwili. Wiedziałem natomiast, że tego nazwiska człowiek energiczny, o węchu wyżlim zapisał się do cechu dziennikarskiego, że postanowił on sobie być przedewszystkiem dzieckiem swojego wieku, i dojść jak najrychlej do pięćdziesięciu tysięcy franków rocznego dochodu.

I co mogło szkodzić takiemu nowonarodzonemu człowiekowi, że jakiś szubrawiec Pascal opowiada o tem, jak on starł na proch w swojem dzienniku jednego z najhojniej udarowanych następców Balzaca,—co mogło to szkodzić osobnikowi, który sam zabierał się teraz właśnie do kroku nie o wiele szlachetniejszego, jak czyn jego naczelnego redaktora?

Ale co do środków zdobycia sobie posłuchania u sławnego pisarza, to miał ten Labarthe istotnie jeden taki w zanadrzu, który go mógł do tego celu doprowadzić, i o tem właśnie słów kilka do powiedzenia pozostaje.

W epoce niedołężnej naiwności swojej posłał ów młodzieniec temu znakomitemu pisarzowi kilka poezyi i jednę nowelę.

Były to właśnie próbki, których jednozgodne odrzucanie przez wszystkich nakładców, zniewoliło ich autora do ucieczki pod opiekuńcze skrzydła dziennikarstwa. Znakomity pisarz dał poczynającemu koledze odpowiedź listowną, na którą Labarthe wysłał jedną jeszcze replikę, a po niej zaprosił go już Fauchery do siebie. Labarthe pośpieszył z tą wizytą, ale gospodarza nie zastał w domu, a że nie był znany osobiście romansopisarzowi, więc wolno mu było liczyć na to, iż młody poeta dostąpi teraz posłuchania, któregoby z pewnością nie udzielono dziennikarskiemu reporterowi.

Plan był bardzo prosty. Należało iść, a skoro się zostanie przyjętym, ukrywszy najstaranniej profesyą obecną, wprowadzić na stół jako temat literacki, ów wiek dla uczuć miłosnych właściwy, o który chodziło—doprowadzić do tego, aby się Fauchery rozgadał, a jeżeli odnajdzie on tę swoją rozmowę żywcem powtórzoną w dzienniku nieprzyjaznym sobie... Tu rozpoczynało się coś niby wyrzuty sumienia, ale rychło przygłuszają się skrupuły podobne koniecznościami narzuconemi przez nieubłaganą walkę o byt, tem bardziej że praktyka dziennikarska przytacza niezliczone przykłady fortelów tego rodzaju.

II.

Nazajutrz po rozmowie mojej z redaktorem naczelnym, dzwoniłem do drzwi małego hotelu, zamieszkałego przez Piotra Fauchery w dzielnicy Passy przy ulicy Desbordes-Valmore. Skoro już raz wziąłem za pióro, aby opowiedzieć fakt bardzo prosty z zupełną prawdą i szczerością, nie powinienem zataić mego dosyć szpetnego uczucia tryumfu na myśl, iż mieszkańcowi tego cichego schronienia spłatam jednak figla nielada. Nie dochodzi się do takiego postanowienia, do jakiego ja doszedłem, żeby tam na dnie duszy niepozostała iskra jakaś niechęci względem wszystkich, którzy tryumfem zakończyli swoją walkę w karyerze literackiej, a Fauchery był jednym z tryumfatorów takich. To też proszę sobie wystawić mój zawód, kiedy służący z wyraźną oznaką złego humoru oznajmił mi, że pana w Paryżu nie było. Nalegałem, aby mi powiedział, kiedy powróci — mówił, że nie wie — żądałem adresu, ale i tego nie znał, czy nie chciał zdradzić. Dosyć było jednak dla mnie udać się do jego wydawcy, aby mię uwiadomiono o wszystkiem. W pół godziny niespełna wiedziałem już, że Fauchery bawi na wsi, w Preby—blizko Nemours, a w dwie godziny potem kupowałem na dworcu Lugduńskim bilet do małego miasteczka, w którem podobało się Balzacowi umieścić swoją rozkoszną Urszulę Mirouet. Przy sobie miałem walizkę zawierającą to co potrzebne, aby przepędzić jedną noc po za domem, pewny bowiem byłem, iż jeśli nie uda mi się widzieć Fauchery'ego dziś po południu, zobaczę go jutro przed południem. W sześć godzin tedy od chwili postanowienia wyjazdu, podawałem już służącemu w pałacowym przedsionku kartę moją, niezapomniawszy na niej zrobić wzmianki o inwitacyi, jaką mi sławny człowiek raczył przesłać w roku zeszłym. Oczekując na odpowiedź, miło mi było ujrzeć dwie kobiety młode, piękne i ele-

ganckie bardzo, które wybierały się widocznie na jakąś pieszą wycieczkę. Wybornie! pomyślałem—może w ten sposób właśnie tajemnica tego wygnania dobrowolnego dałaby się objaśnić. Mój interview zapowiada się dobrze.

Znalazłem mojego powieściopisarza w małym saloniku, którego okna wychodziły na park ozłocony w tej chwili całym wdziękiem rozpoczynającej się jesieni. Nie wielki ogień płonął na kominku, oświecając powleczone jasnym kretonem ściany, na których porozwieszane były umiejętnie kolorowane litografie, przedstawiające wyścigi z przeszkodami i sceny z polowania „par force.” Stwierdzało to także zamiłowanie jakie miał Fauchery do życia wielko-światowego, które opinia wyrzucała mu często bardzo. Ale swoją drogą książki i papiery zapełniały stół, opowiadając wymownie, że chwilowy mieszkaniec tego cichego ustronia, jest i tutaj jeszcze wytrwałym pracownikiem, a świadectwo to wystawiał mu również wyraz jego fizyognomii, który wyznaję, obudził na nowo wszystkie wyrzuty, jakie sobie robiłem za podejście moje. Ah! gdybym był w człowieku tym znalazł jakiegoś pretensyonalnego pyszałka, o ileż by mi mój podstęp wydał się godziwszym, ale tu przeciwnie było—całkiem przeciwnie. Ten człowiek który składał w tej chwili pióro na moje przyjęcie, mógł mieć około pięćdziesięciu siedmiu lat wieku—twarz na której myśl wyżłobiła swoje bruzdy, oczy wyczerpnięte nocnem czuwaniem, a czoło świecące jakąś prawdziwie pociągającą głębią myśli. Wskazał mi fotel i odezwał się uprzejmie:

— Darujesz zapewne kolego szanowny, że tak późno cię przyjmuję. Ja, jego kolega!—ah gdyby on wiedział! ale oto widzisz dodał pokazując mi ćwiartkę papieru nieobeschłą jeszcze zupełnie. W moim wieku nie ma się już tej łatwości, którą pan masz teraz. Ale mówmy o tobie tylko. Jakim sposobem znajdujesz się w Nemours, i co napisałeś od czasu tej noweli i tych wierszy, które mi raczyłeś przesłać?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TO I OWO.

⁂ Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych podaje do wiadomości pp. artystów, malarzy i architektów, iż stosownie do § 1 regulaminu corocznych konkursów Towarzystwa, w miesiącu Lutym roku 1897, odbędzie się konkurs malarstwa i architektury.

Na konkurs malarstwa kwalifikują się obrazy olejne, akwarele, pastele, kartony i rysunki, wykonane w ciągu lat 3 ostatnich, jeżeli nie były umieszczane na wystawie Towarzystwa lub innej w Warszawie. Za dzieła konkursowe z dziedziny malarstwa, mające istotną wartość artystyczną przeznaczone są trzy nagrody pieniężne: rs. 400, 200 i 100.

Na konkurs architektury kwalifikują się wszelkiego rodzaju kompozycye w zakres budownictwa wchodzące, w szkicach, projektach, modelach, a także fotografiach dzieł wykonanych. Rysunki dopełniające i objaśniające główny przedmiot pracy konkursowej, jak przy elewacyi, plany i przecięcia mogą być przedstawione pobieżnie na małą skalę. Prace szkolne i akademickie mogą być wystawione z odpowiednią wzmianką o wystawieniu po za konkursem, to jest bez prawa ubiegania się o nagrody. Za dzieła konkursowe z dziedziny architektury, mające istotną wartość artystyczną przeznacza się dwie nagrody pieniężne: rs. 400 i 100.

Nie kwalifikują się na konkurs tak malarstwa jak i architektury wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych.

Deklaracye w formie zwyczajnej korespondencyi pod adresem Komitetu Towarzystwa przesłać należy przed 3 Stycznia 1897 r. n. st.

W deklaracyi winna być zamieszczona treść dzieła, dokładny adres artysty z krótką wiadomością gdzie i kiedy się urodził, oraz w jakiej szkole otrzymał wykształcenie artystyczne.

Prace konkursowe nadesłane być winny do lokalu Wystawy Towarzystwa, najpóźniej do dnia 3/15 Stycznia 1897 roku, do godziny 3 po południu.

Koszt transportu dzieł, par petite vitesse, z opłatą cła od przysłanych z zagranicy, o ile dzieła te zostaną przyjęte przez cenzurę rządową i delegacyę Sądu konkursowego, ponosi Towarzystwo. Regulamin szczegółowy konkursu na żądanie wysyła franco, lub wydaje na miejscu bezpłatnie Kancelarya Towarzystwa.

⁂ Najstarszy z lekarzy Anglii, a jak się zdaje i świata całego doktór Salomon zmarł w ostatnich czasach w wieku lat 106. Studya lekarskie rozpoczął w królewskiem kollegium chirurgicznem w roku 1809. Trybowi życia systematycznemu i umiarkowanemu zawdzięczał on zdaniem wielu tę niezwyczajną długowieczność swoją, nader rzadko trafiającą się wśród ludzi jego professyi. Nie należy jednak zapominać, że doktór Salomon wcześnie dosyć dał za wygranę praktyce lekarskiej, ożeniwszy się bogato.

Francya ma dzisiaj w Hawrze lekarza, który praktykuje dotąd pomimo 102 lat skończonych życia, i to jest istotnie bardzo wyjątkowy przykład dzielności fizycznej organizmu i sprężystości umysłu.

⁂ Don Quichotte Cervantesa jest utworem, który doczekał się większej ilości wydań, niż jakiekolwiek inne dzieło epoki dawniejszej. Ukazawszy się w roku 1605 doczekał się don Quichotte w naszych czasach tysiąc trzechsetnej dwudziestej czwartej swojej edycyi licząc orygynały i tłómaczenia. Otóż wedle języków Europejskich biorąc, tak się daje rozłożyć ta ilość wydań: Hiszpania 528 — Anglia 304 — Francya 179 — Włochy 99—Portugalia 84 — Niemcy 45 — Szwecya 18 — Polska 9 — Dania 8— Rossya 6—Rumunia 3—Patois katalońskie 4 — narzecze Baskow 1 — język łaciński 1.

⁂ Doniosłość dzisiejszych pocisków działowych dochodzi do jakichś cyfr nieprawdopodobnych. Świeżo dokonane próby z wielką armatą Kruppa dały takie rezultaty. Z armaty, której średnica wynosiła 24 centymetry wyrzucono pocisk ważący 250 kilogramów. Wzniósł się on w najwyższym punkcie swojej drogi do wysokości 6,440 metrów to jest o 1,700 wyżej, niż wierzchołek góry Montblanc a upadł w odległości 20 kilometrów.

Wskazówki i rady.

LIKIER Z KWIATU LIPOWEGO.

Główną odmianę w każdym likierze gra aromat, reszta bowiem, jak: cukier, spirytus i woda, powtarzają się niezmiennie w każdym. Otóż bardzo aromatyczny likier robi się z kwiatu lipowego. Gdy tylko co lipy zaczynają kwitnąć zerwać garść kwiatu i nalać go kwaterką najlepszego spirytusu, zostawiając na cztery dni w cieniu. Dwa funty cukru nalać pół kwartą wody, zagotować na syrop jeden raz, gorący rozbierać trzema kwaterkami spirytusu 94%, dolawszy ów zlany z kwiatu lipowego, a gdy wystygnie wlać w butelki. Nie trzeba filtrować, bo gdy się odstawi będzie czysty jak łza, z miłym zapachem.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

NAJBARDZIEJ ROZPOWSZECHNIONE PISMO POLSKIE

KURYER WARSZAWSKI

WYCHODZI CODZIENNIE,

przy współpracownictwie najpierwszych sił literackich

w dni powszednie wieczorem, a w Niedziele i Święta rano.

Nadto wychodzą stale w dni powszednie z wyjątkiem dni poświątecznych,

BEZPŁATNE DODATKI PORANNE

zawierające wszelkie najnowsze wiadomości z ostatnich 12 godzin. Tym sposobem czytelnicy otrzymują tygodniowo 7 półtora do dwuarkuszowych numerów głównych i 5 półarkuszowych *dodatków porannych*.

KURYER WARSZAWSKI

liczy rok 76 istnienia i jest w stosunku do bogatej i urozmaiconej swej treści

46911

NAJTAŃSZEM PISMEM POLSKIEM.

Na szczególną uwagę zasługuje dział *własnych telegramów* Kuryera. W felietonie *Kuryer Warszawski* drukuje Przeglądy literackie i artystyczne, najnowsze romanse, powieści, nowelle i humoreski najznakomitszych autorów polskich, nauka i sztuka traktowane są przez najznakomitszych popularyzatorów. W programie *Kuryera Warszawskiego* wchodzą przeglądy polityczne, artykuły wstępne w sprawach społecznych, ekonomicznych, oraz innych bieżących krajowych i zagranicznych, wiadomości administracyjne tak miejscowe, jako też z prowincyi i innych krajów; głosy gazet ruskich i zagranicznych; sprawozdania sądowe i porady prawne, sprawozdania, kursa i telegramy giełdowe, zbożowe i z handlu wszelkiemi innemi produktami; odpowiedzi od redakcyi na wszelkie zapytania czytelników; wiadomości kościelne i urzędowe, wykazy wylosowanych papierów publicznych; logogryfy, szarady, zadania arytmetyczne, szachowe i t. p.; wreszcie ogłoszenia prywatne.

*Wielka poczytność „Kuryera Warszawskiego“ czyni go **najodpowiedniejszem pismem dla wszelkich ogłoszeń.** Poczytność ta, którą co najmniej na kilka kroć sto tysięcy osób liczyć można, w połączeniu ze znakomitą liczbą egzemplarzy, w jakiej Kuryer Warszawski się odbija, zapewnia ogłaszającym się w nim najlepsze rezultaty i robi owe ogłoszenia w porównaniu z innemi pismami, nie tylko **najtańszemi** ale samo przez się **niezmiernie taniemi.***

Warunki prenumeraty:

(wraz z dodatkiem porannym)

w Warszawie: rocznie rs. **9,** półrocznie rs. **4** kop. **50,** kwartalnie rs. **2** kop. **25,** miesięcznie kop. **75.** Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie kop. **5.** **Na prowincyi i w Cesarstwie:** rocznie rs. **12,** półrocznie rs. **6,** kwartalnie rs. **3,** miesięcznie rs. **1.** **Za granicą:** rocznie rs. **18,** półrocznie rs. **9,** kwartalnie rs. **4** kop. **50,** miesięcznie rs **1** kop **50.** Przedpłatę przesyłać można w rublach lub jakiejkolwiekbądź monecie kurs mającej.

Warunki ogłoszeń:

Małe ogłoszenia: za jeden *wyraz* po kop. 2 każdy raz; (minimum 10 wyrazów).
Zwyczajne ogłoszenia: za joden wiersz pet towy albo jego miejsce pierwszy raz 10 kop; każdy następny raz 8 kop.
Nekrologia: za jeden wiersz 15 kop.
Reklamy: Za jeden wiersz garmontowy albo za jego miejsce pierwszy raz 25 kop., każdy następny raz 20 kop.
Nadesłane: za jeden wiersz garmontowy rs. 1.

Wszelkie zlecenia ogłoszeniowe lub prenumeracyjne tak z miasta jak i z prowincyi natychmiast są załatwiene.

Przedpłatę przyjmuje się w każdym czasie, licząc jej termin od każdego 1-go według kalendarza nowego stylu.

Adres: **Administracya „Kuryera Warszawskiego,“ Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr. 40, lub plac Teatralny Nr. 9.**